



EWA GUDERIAN-CZAPLIŃSKA

NARODOWA PORNOGRAFIA

Teatr im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy
Przemysław Wojcieszek

HYMN NARODOWY

reżyseria: Przemysław Wojcieszek, scenografia: Małgorzata
Bulanda, muzyka: Filip Zawada, światła: Zofia Goraj;
premiera: 2 i 3 kwietnia 2016

Wchodzimy bocznym wejściem na scenę, gdzie naprzeciw siebie ustawiono podesty dla widzów, a pośrodku pozostawiono przestrzeń gry, ograniczoną z obu stron metalowymi rusztowaniami (Polska w budowie, Polska w ruinie). Za nami zamknęły się z łoskotem drzwi w żelaznej kurtynie, pani inspicjentka wyrazistym gestem dodatkowo huknęła zasuwą, oddzielając nas ostatecznie od świata – zostaliśmy zatrzaśnięci w czarnym sześcianie. W podłodze sceny zieją dwie otwarte zapadnie, stopniowo podświetlające się od dołu

piekielną czerwienią, ale zrazu nie zwraca się na nie uwagi, one zagrają dopiero za chwilę – tym, co rzuca się w oczy, ba! kole w oczy i natychmiast ustawia skojarzenia, są tafle styropianu pokrywające całą podłogę. Niektóre jeszcze w całości (będą się dobrze nadawać do budowania markowanych mebli, a to szafy, a to stołu), inne już pokawałkowane, pokruszone, symbole dawnej chwały, przegranej walki, zaprzepaszczonego etosu. Na tym styropianowym podłożu – no proszę, od razu rodzą się metafory – rozgrywa się cała historia współczesna, aktualna, dzisiejsza, gorąca „aż parzy”.

Na styropianie, w styropianie, pod styropianem, w styropianowym mieszkaniu żyje sobie samotnie niejaki Zbigniew. Kompletnie zapomniany przez świat i ludzi dawny solidarnościowy opozycjonista i bojownik, ongiś przywódca strajków w fabrykach w Kowarach, Bielawie, Dzierżoniowie, teraz wycofany z życia i ostro pijący. W latach osiemdziesiątych podtrzymywał ducha buntu i „zagrzewał dziewczyny do walki” (bo tak się składa, że te strajkujące zakłady pracy miały niemal wyłącznie kobiecą obsadę), bez wytchnienia jeżdżąc po kraju starym polonezem, co było „jak trasa koncertowa Rolling Stonesów”, bo tyleż samo budziło emocji, a on był jak „Mick Jagger polskiego ruchu związkowego”, bo potrafił porwać tłumy. Teraz opowiada młodej dziewczynie, Alicji, której wtedy jeszcze nie było na świecie, jak wspaniałym, kwitnącym miastem były dzięki fabryce dywanów Kowary, jak szalone

były strajkowe miesiące, jak zaprzepaszczone w końcu licząca sto pięćdziesiąt lat tradycję fabryki, jak miasto spsiało i upadło, bo nie udało się uratować miejsc pracy. Zbigniew gada i pije – a Alicja podczas tej spowiedzi sypie na jego głowę popiół, czyli pokruszony styropian. Kiedy Zbigniew nieco wytrzeźwieje, obmyje sobie twarz – też kulkami styropianu, jak wodą.

Za to wszyscy inni bohaterowie brutalnie po nim deptają, każdym butnym krokiem krusząc resztki białych prostokątów, rozkopując je i niszcząc. I to właśnie oni, wcale nie Zbigniew, grają w spektaklu pierwsze skrzypce. PiS i opozycja, dwie strony wojny, na zmianę jednak wdzierają się na Zbigniewowy styropian w charakterze kusicieli. Alicja nie wzięła się znikąd – młodziutka, seksowna dziewczyna została wysłana przez obóz opozycyjny z zadaniem uwiedzenia Zbigniewa. Uwiedziony i zakochany ma przystąpić do opozycji, której jest niezwykle pilnie potrzebny celem ratowania wizerunku – jako nazwisko i jako dowód na to, że stara solidarnościowa gwardia, ta nieskorumpowana i nieskompromitowana, przykładnie biedna, ta, co się nie splamiła, odeszła od polityki, nie przystąpiła do rządzących elit, ocalała sumienie, znowu staje po właściwej stronie. I swoją osobą, swoim poparciem uwiarygodni antyrządowe protesty. Zbigniew powinien więc zgłosić akces, pójść na marsz KOD-u, przechylić polityczną szalę. Ale dokładnie tego samego chce od niego rządząca prawica – „krótka ławka” już całkiem jej pustoszeje, niezbędne jest poparcie kogoś, kto naprawdę zachował szacunek u ludzi przechowujących dobrą pamięć o bohaterach Solidarności. Zbigniew będzie nawet wizerunkowo lepszy niż Morawiecki. Pisowska młodzieżówka kusi go więc nie mniej seksownie niż Alicja, choć zupełnie innymi środkami: odziany w porządną garnitur działacz cytuje Mickiewicza – „bo dzieło zniszczenia [...] jest święte jak dzieło stworzenia” – nader umiejętnie dobierając stosowne fragmenty w charakterze argumentów uzasadniających działania partii. Nie jest wcale fanatycznym głupkiem (to znaczy fanatyczny jest, ale nie głupi, ma nawet pewną charyzmę) i absolutnie nie powinno się go lekceważyć. Dobrze wie, że do Zygmunta – który oprócz picia, czyta też w kółko swojego ukochanego *Dobrego wojaka Szejka* – można trafić przez literaturę, co skrzętnie wykorzystuje; tyle tylko, że na dęte i cokolwiek zmanipulowane cytaty z wieszczki Zygmunta, opancerzonego ironią Haška (bliskiego kolegi Žižka), odpowiada własną bronią (na przykład słynnym cytatem: „ja jestem idiotą z urzędu”). I nie daje się kupić.

Walka dwóch frakcji o Zygmunta, choć fabularnie jest kręgosłupem legnickiej opowieści i okazją do szyderczej auto-prezentacji partyjnych działaczy, nie jest jednak jej centrum. W samym środku są bowiem pisowskie demony. Wyłaniają się z owych piekielnych zapadni posłanka Pawłowicz, Antoni Macierewicz, prezydent Duda. Nikt niczego specjalnego tu dla nich nie wymyślił, po prostu robią to, co robią na co dzień w rządzie i sejmie, na scenie dysponują może tylko bardziej dosadnym i soczystym językiem oraz skondensowanym gestem. Prezydent taśmowo podpisuje ustawy, nawet ich nie czytając, bo „ktoś wyłączył mu mózg”, minister Macierewicz zajmuje się wyłącznie zamachem smoleńskim, onanizując się

w rytm podkładu dźwiękowego z taśm odzyskanych z kabiny samolotu, posłanka Pawłowicz wymachuje wachlarzem, pochłania kanapki i opętańczo coś wrzeszczy o pedałach, a w końcu usiłuje zmienić hymn narodowy na toporną pieśń (w stylu pielgrzymkowo-oazowym, gitara na dwa chwyt) z refrenem „jesteś królem”. Oczywiście, aktorzy ogrywają to grubo, kabaretowo, przesadnie, ale jakoś nikt się nie śmieje; zbyt blisko rzeczywistości pozostaje ten farsowy popis, który jest wprawdzie przegięty i wzmocniony, ale przecież to dzieje się naprawdę i dlatego w ogóle nie jest zabawne, jak odbicie w skali jeden do jednego. Inna sprawa z prezesem – bo i on na scenie się pojawia, ale tu koncept jest daleko bardziej dramatyczny. Prezes mianowicie wyplątuje się z czarnego worka na zwłoki, krzycząc „Leszek, puść mnie!”, po czym wygłasza monolog o skali własnego poświęcenia: między innymi opowiada o tym, jak przez długi czas okłamywał matkę, wmawiając jej, że „lepszy brat” wciąż żyje. Smutne, głębokie poczucie krzywdy, zazdrości i niższości, które dało w efekcie napęd do zrobienia wszystkiego, by znaleźć się na szczycie, niezależnie od kosztów – tak zdiagnozowany prezes świetnie zdaje sobie sprawę z uczuć, które budzi w rodakach, ale jest już opancerzony: „karmię się waszą nienawiścią”, syczy. Im bardziej będzie znienawidzony, tym stanie się silniejszy. Jest już zresztą tak mocny, że ucieleśnia wszystko: „ja jestem waszą Polską” – krzyczy do widzów. Postać prezesa, równie demoniczna jak pozostałe, dostała więc własną opowieść założycielską, prawdziwie upiorną. Która niczego nie usprawiedliwia ani nie wyjaśnia, jest wszakże okazją do odsłonięcia paranoi partyjnego guru, przekonanego o osiągniętej wszechwładzy, ale jednocześnie wciąż niepewnego i targanego przekleństwem wspomnień. Ten portret robi się zarazem żenujący i prawie wrzuszający, kiedy na koniec, niemal prosząco, prezes przypomina, że przecież ukradł dla nas księżyc... nikt nigdy nie zrobił dla swojego narodu niczego równie wielkiego, prawda? Dlaczego więc wciąż prezesa nie kochamy? Miłość będzie wobec tego nakazowa. „Trochę szacunku, kurwy, i jak mówię przytulici, to przytulici” – dyktator wraca do roli.

Młodzieżówka akurat wielbi go bez przymusu. „To jedyny autorytet w świecie bez autorytetów” – przekonują działacze. Są pewni, że wyznaczył właściwe obszary działań: wiara i wychowanie. „Wszyscy ci, którzy dziś siedzą na widowni, za dziesięć lat będą z nami”, mówi kusiciel z młodzieżówki, patrząc spokojnie i pewnie w twarze gimnazjalistów (na przedpołudniowym spektaklu większość stanowiła młodzież szkolna, która przyszła do teatru z odważnymi nauczycielami, jakoś niewystraszonegrozami kuratorium, bo podobno takie były – dyrektor teatru mówił w wywiadzie o wielu odwołanych rezerwacjach). No tak, przejście szkół jest oczywistym etapem zmiany, Kościół od dawna jest po właściwej stronie. Ale kto ma się przeciwstawić tej pisowskiej pewności, gdzie jest alternatywa, skoro strona opozycyjna wypada w spektaklu tak słabo? Młoda lewica prezentuje się na początku jak grupka zniechęconych i przestraszonych dzieciaków, które już nie pójść na manifestację, bo nie chcą być dłużej wyzywane „od kurew i złodziei”; jeden z nich

kupił nawet nóż w celach samoobrony, nie będzie więc dłużej „pozytywny i unikający przemocy”, ponieważ z taką postawą można raczej samemu zginać niż cokolwiek wywalczyć. Opozycja knuje wprawdzie podstęp z Alicją, ale nawet to się nie udaje: Zbigniew został skutecznie uwiedziony, lecz i on uwiódł nawzajem – w rezultacie zakochani w sobie byli opozycjonista i dezertka z KOD-u wymyślają alternatywną drogę działania dla dobra społeczeństwa, całkowicie różną od retorycznej wojny lewicy i PiS (do czego jeszcze wrócę). Oba obozy potrafią się tylko obrażać, im gorzej, tym lepiej; malowniczo miotają się na rusztowaniach, jedni wrzeszczą „precz z komuną”, drudzy zachęcają „hop, hop, hop”, a gdy nie starcza im już słów i argumentów, szczerzą na siebie jak wściekłe psy. Tak czy owak, grupa opozycyjna jest wyraźnie słabsza, bardziej zagubiona – oczywiście, zgłaszanie wątpliwości, zdecydowanie mniejszy zasób cynizmu czy niechęć do siłowych rozwiązań można jej poczytać za zalety, ale to grupa pisowska ma przewagę. W dodatku jej reprezentant schodzi ze sceny (do zapadni, do piekła, dołącza do demonów), zapowiadając – znowu cytatem – co zrobi z opozycją: „zemsta na wroga”! Nawet chwilowo unieszkodliwiony (tym nożem) PiS będzie zawsze kombinował, jak pokonać „nieprawdziwych Polaków”, jak dokonać odwetu; nigdy nie pomyśli o czymś tak abstrakcyjnym, jak wspólne dobro.

„Uważa się, że do polityki trafiają ludzie gruboskórni i najbardziej odporni. Moim zdaniem są to raczej ludzie o osobowości pornograficznej. [...] Potrafią zrobić publicznie rzeczy najbardziej bezwstydne i nie cierpieć z tego powodu, [...] mogą mówić rzeczy najzupełniej obsceniczne” – komentował ostatnio Artur Żmijewski¹. To się sprawdza w spektaklu, bezwstyd i polityczne *obscenum* wszechwładnie panują na scenie. Przemysław Wojcieszek właściwie nie stawia żadnej diagnozy, nie próbuje podpowiedzieć żadnego rozwiązania, tylko po prostu w postaci nieco spakowanej (jak pliki w zipie) odzworowuje to, co widzi. Niektóre polityczne memy w internecie bywają bardziej wymyślne. Wojcieszek podkreślił zachowania sejmowe i uliczne, uwydatnił tę śliską polityczną pornografię – ale właściwie swoim spektaklem tylko przygląda się ze złością temu, co się porobiło. Ma odwagę przenieść te widoki na scenę – odwagę nie dlatego, że coś miałyby mu za to grozić, tylko dlatego, że powtórzenie gestów posłanki Pawłowicz już samo w sobie jest obsceniczne i wymaga zaciśnięcia zębów (od widzów też).

Ale w takim razie – po co ten spektakl? Dlaczego mam oglądać w teatrze to samo, co równie ostro widzę na co dzień, skoro *Hymn narodowy* niczego w istocie nie problematyzuje, nie roztrząsa, tylko daje w łeb, jak bezpośrednia transmisja z obrad sejmu? Bo przecież nie jest żadną propozycją sentymentalny finał, kiedy Zbigniew i Alicja w zgodnym dwuosobowym zespole ruszają (do wtóru PJ Harvey, ulubionej artystki Alicji; Zbigniew wciąż słucha tylko Kaczmarskiego i Gintrowskiego – ale, proszę, jakoś to godzą) „naprawiać ten okaleczony kraj”. Jakim sposobem? Będą mianowicie „chodzić od drzwi do drzwi i rozmawiać z ludźmi”. Mhm. To zakończenie tak pasuje do całości, jak królewski posłaniec u Moliere;

jest doklejone, całkowicie niewiarygodne i w niczym nie zmienia poprzednich obrazów – ale może dlatego zostało wymyślone? Bo tak bardzo chcielibyśmy, żeby jakoś dobrze się to wszystko skończyło, a przecież wiemy, że się dobrze nie skończy... no to chociaż zainscenizujmy sobie w teatrze piękne marzenie o ludziach, którzy się ze sobą dogadują, choćby była to scena kiczowata jak wschód słońca nad morzem. A może miał być ów finał przewrotnym uwyrażeniem anachroniczności styropianowej postawy, która, choć szlachetna, jest już dziś całkowicie nie do zastosowania, a uwieść może co najwyżej naiwną, zakochaną dwudziestolatkę? Oraz podkreśleniem fiaska dążeń tamtego pokolenia, które „przegrało wszystko” (takie oskarżenie rzucają Zbigniewowi w twarz młodzi opozycjoniści)? Chyba jednak nie, bo wtedy musiałyby to być inna historia – przecież Zbigniew akurat nie załapał się na apanaże kapitalizmu, więc nie jest przedstawicielem tej części „styropianu”, która natychmiast zapomniła o współtowarzyszach i porozumieniach sierpniowych, bo musiała zająć się prywatyzacją i odbyć błyskawiczny kurs neoliberalizmu w weekend. Zbigniew duchowo pozostał „styropianem” w tym sensie, że zachował społeczną wrażliwość – ale nie dysponuje polityczną metodą wprowadzenia przyzwoitych norm życia we wzajemnym poszanowaniu. Będzie więc uprawiał samotną, szlachetną, acz całkowicie nieskuteczną partyzantkę. Czyli finał – jak z Sienkiewicza – może i kogoś pokrzepi, ale reszta na tę naiwność wżruszy ramionami lub zinterpretuje sobie przewrotnie, że został on wprowadzony specjalnie dla podkreślenia beznadziejności działań zakochanej pary, która sądzi, że wystarczy odkurzyć „make love not war” i wojna się skończy. Zasadniczo jednak nie oglądamy spektaklu Wojcieszka dla pokrzepienia, odwrotnie. To, zapytam raz jeszcze, co ma nam dać?

Sądzę, że część odpowiedzi tkwi w organizacji przestrzeni: widzowie zatrzęsnięci na scenie za żelazną kurtyną razem z piekielnymi potworami. Usadzeni twarzami do siebie, obserwują zarazem szalejące demony i sąsiadów naprzeciwko. Takie zamknięte sale nie należą do ulubionych miejsc Wojcieszka, pewnie chętniej znowu wyprowadziłby widzów poza budynek teatru, zainscenizował coś w oknach bloku i na pobliskim parkingu, jak w *Made in Poland*; życie jest przecież na ulicy, dzisiaj może nawet bardziej, w końcu manifestacje KOD-u są głównym sposobem mocnego demonstrowania wspólnoty sprzeciwu, a narodowcy agresywnymi marszami komunikują gotowość i butę. Ale tym razem – choć to dość oczywiste, a pewnie nawet banalne – zamknięcie i usytuowanie widzów ma moc metafory, świata bez wyjścia, pełnego nienawiści i napięcia. Jesteśmy radykalnie podzieleni, ale przecież musimy tkwić w jednym „wnętrzu”. Skompresowane w spektaklu emocje przelewają się na widownię, przedstawienie działa jak termometr, pokazuje, ile już mamy powyżej czterdziestu i ile jeszcze zostało do ścicia białka – czyli nie chodzi w legnickim przedstawieniu o diagnozowanie politycznej rzeczywistości (widać, co się dzieje), lecz raczej o diagnozę poziomu społecznych emocji. Testujemy je tu na sobie trochę tak, jak robilibyśmy to prywatnie: opowiadając w gronie znajomych mocny dowcip, czy rzucając ciężkim słowem

w reakcji na kolejny polityczny absurd. I uświadamiamy sobie, jak gorączka rośnie.

Drugi powód widzę w obrazie walczących stron. Wojcieszkowi zależało bodaj na tym, by w żadnym wypadku nie był to spektakl o dobrym KODzie i złym PISie. Choć jasne jest, z jakich pozycji reżyser się wypowiada, najwyraźniej chciał także zachować „krytyczne” spojrzenie: PIS jest zły, owszem, ale i opozycja ma swoje za uszami. Ludzie z tej grupy są, na przykład, równie jak prawica interesowni i gotowi kupczyć autorytetami, uczestniczą w żenujących klótniach, nie potrafią zaproponować żadnego konstruktywnego rozwiązania, w końcu – ale właśnie ten pomysł trudno zaakceptować – dopuszczają się ataku (z nożem w ręku) na politycznego wroga. Wykonuje wprawdzie ów zamach człowiek doprowadzony do ostateczności, sprowokowany, nieustannie obrażany i zaszczuty gej, który ostatecznie utracił poczucie bezpieczeństwa, a z nim może i rozsądek. Ta scena miała zapewne wyrócić stereotyp, że przemocy używają tylko agresywni kibole z obozu narodowców, oraz pokazać, do czego może dojść, gdy ostatecznie przestaniemy ze sobą rozmawiać i zaczniemy się już tylko nienawidzić. Może miała stanowić trzeźwiącą przestrożę. Ale w planie spektaklu (trochę także dlatego, że została kiepsko rozwiązana scenicznie i aktorsko) pozostaje całkowicie sztuczna, niejasna, wyprawiona bodaj z porządku „Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek”, czyli właśnie źle pojętego krytycyzmu. Bo nie byłabym jednak skłonna przypisywać obu stronom równego nasycenia histerią. Rozumiem, że w gorącej atmosferze pracy nad spektaklem pojawiła się słuszna skądinąd refleksja, że należy jednakowo patrzeć na ręce wszystkim, niezależnie od partyjnej przynależności, ale przecież *Hymn...* w ogóle nie zbliża się do poważnego roztrząsania kwestii politycznych, wcale tego nie chce – jest bluzgiem, kabaretem, przekleństwem, nerwowym śmiechem podszytym bezradnością, doraźną interwencją nakłuwającą własny strach, szyderstwem zmieszonym z przerażeniem. I niechby tak zostało.

PS. Nigdy się nie nauczą. Nigdy. Wzmożenie i dygot ideowy. Podobno utwór jest nieprawomyślny – od razu zakazać. Podobno obraża uczucia – nie dopuścić do premiery. Podobno szarga pamięć – zdjąć z emisji. W rezultacie dzieło ma świetną reklamę na niewidziane, bo zaatakowane, staje się ogólnokrajową sensacją. Mówię, oczywiście, o przypadku kwietniowego „Pegaza”, w którym zaplanowano rozmowę z twórcami *Hymnu narodowego*, a który to program z hukiem spadł z anteny jednoosobową decyzją prezesa TVP, zatrwożonego obecnym w spektaklu tematem katastrofy smoleńskiej. Więc może i dobrze, że się nie nauczą: gdyby się zorientowali, że naprawdę politycznie skuteczniejszy jest brak interwencji, być może cała Polska nie dowiedziałaby się o legnickim spektaklu. A tak, kto wcześniej nie słyszał o *Hymnie*, to wtedy właśnie na pewno usłyszał. Nie pytałam, ale sądzę, że wszystkie spektakle w tym sezonie wyprzedane. ■

¹ <http://www.krytykapolityczna.pl/artykuly/kraj/20160519/zmijewski-do-polityki-trafiaja-ludzie-o-osobowosciach-pornograficznych>, dostęp 3 VI 2016.